

NAJLEPSZĄ PUENTĄ
JEST MIŁOŚĆ



To
zabawne
uczucie

TARAH DEWITT



TARAH DEWITT

**To
zabawne
uczucie**

Przełożyła
Aleksandra Weksej



Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Maria Mazurowska
Redakcja: Katarzyna Sarna
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Sam Palencia / Ink and Laurel
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski
Ilustracja na rewersie okładki: SvetaArt/ Adobe Stock
DTP: pagegraph.pl

Copyright © Tarah Dewitt, 2022

Copyright © 2024, Papierowe Serca an imprint of Wydawnictwo KobiECE
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Weksej, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-361-8

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dostajesz tylko jedną maleńką iskrę szaleństwa.

Nie wolno ci jej stracić.

ROBIN WILLIAMS

Farley

Żart o sraczcze zalicza klapę.

To był ryzykowny fragment, wiedziałam o tym, podobnie jak większość komików znajdujących się w takiej sytuacji. Czasem jesteśmy pewni, że jakiś dowcip rozbawi publiczność do łez, a tymczasem umiera powolną, bezbarwną śmiercią – zupełnie jakby przez salę przeleciała pierdząca poduszka. A potem idą żarty, które wydają nam się tylko wypełnieniem, przygotowaniem gruntu pod jakieś spektakularne nawiązanie, które planujemy na później, i to właśnie one robią całą robotę. Wiem to z doświadczenia, mimo to widząc reakcję sali, lekko się zacinam – tylko odrobinę – po czym prę do przodu.

Podejrzewam, że błyskotliwe porównanie skutków nieprzeżywanego objadania się nabiąłem do prac Jacksona Pollocka mogło być jednak nietrafione. Jedyne śmiechy, jakie udało mi się wywołać, wynikają raczej z zażenowania, niektórzy słuchacze pochylają głowy, inni zamykają oczy i się wzdrygają.

Właśnie na taką okoliczność przygotowałam sobie kolejny autodeprecjacyjny tekst, który mogę teraz wygłosić. Tym razem jest to coś w rodzaju: „Ojej, biedna dziewczyna próbuje być dowcipna, aż smutno na to patrzeć. Ale czekajcie! Ona sobie z tego żartuje, więc ja też mogę się pośmiać. Tak, śmieję się, bo mogę się pośmiać z niej. Właśnie za to płacę”. Jest to też jeden z tych tekstów, które są dość mocno oparte na moich osobistych doświadczeniach, więc... no tak, one zazwyczaj rozkładają wszystkich na łopatki.

Gówniany (ha, ha) dowcip zostaje szybko zapomniany, a ja znowu staję się dyrygentką tego arcydzieła. Wokół mnie rozbrzmiewa symfonia śmiechu, który wzbudzam, podsycam i podtrzymuję. Jedną stronę sali rozbawiam swoją smutną, dziwną nieporadnością. Snuję opowieść o jakichś cudownie wyniosłych (nieistniejących) mężczyznach, z którymi się spotykałam, i o niefortunnych perypetiach z mojego życia seksualnego, po czym przechodzę do parodiowania, dzięki czemu przemieszczam się krokiem lemura na drugą stronę sceny, wywołując na sali salwy śmiechu.

Jest piękny, wspaniały, wszechogarniający. Jest ciepły, wypełnia mnie i napędza. Czuję się jak iskra, która błagała o podpałkę, a publiczność to jeden z tych staroświeckich miechów, który tak długo dmucha i wachluje, aż zaczynam płonąć jasnym ogniem.

Z każdą falą śmiechu widowni myślę sobie, że naprawdę może mi się udać, bo jestem za-baw-na.

Rozlegają się potężne brawa. A potem następuje koniec.

Oklaski się załamują.

A ja gasnę.

Z każdym krokiem w stronę kulis zjeżdżam ze szczytu adrenaliny i jest to gwałtowny, przerażający zjazd.

Jedyne, co mi pomaga – mój ratunkowy czekan, który wbi-
jam w zbocze góry – to twarz Meyera. Wokół niego panuje chaos.
Dźwiękowcy ocierają łzy. Konferansjerka stoi zgięta wpół, z no-
gami ciasno skrzyżowanymi, pewnie po to, żeby się nie posikać.
Meyer jest jednak niewzruszony i stoicki jak zawsze. Ręce ma
założone na piersi, dłonie wetknięte pod pachy, tak że wystają
tylko kciuki. Na mój widok udaje mu się je unieść w wyrazie
uznania, co jest z jego strony szaloną pochwałą. Usta przecinają
mu twarz jak podkreślnik, a czoło ma jak zwykle zmarszczone.

Ta niezachwiana marudność Meyera jest moją linią ratun-
kową. Zaciska się na mnie jak lasso i ściąga z powrotem do
ciała i chwili obecnej, tak bym nie błędziła już dłużej we włas-
nej głowie, gdzie zawsze planuję wejście na bis albo mierzę
wzrokiem tłum i go karmię żartami. Meyer jest moją skałą,
moim hamakiem. Podtrzymuje mnie i otula cienistym koko-
nem w letni dzień. Nawet jeśli nie jest tego świadomy.

Jest też moim menedżerem. Menedżerem, który przy oka-
zji stał się najbliższym przyjacielem, odkąd trzy lata temu po-
jawił się w moim życiu. Choć w rzeczywistości istniał w nim
już wcześniej. Tego chyba też nie jest do końca świadomy, a ja
nawet nie wiem, w jakim stopniu tak naprawdę odwzajemnia
moją sympatię, ale to nie ma nic do rzeczy.

Lubi udawać, że drażnię go niemiłosiernie, ale czasem
przyłapuję go w chwili, gdy kąciki jego warg się unoszą. Udaje
mi się to za każdym razem, kiedy opowiadam żart o kolesiu
ze studiów. Tym, który zarzucił mi kolana na głowę, jakbym
była jakimś ludzkim śpiworem, a on próbował go zwinąć – tu
następują sugestywne wygibasy prezentujące ten akt – i po
jakichś sześćdziesięciu sekundach przeciętnego ruchania
wykrzyknął mi szeptem do ucha: „CHCĘ, ŻEBYŚ MIAŁA
ORGAZM”, na co ja odpowiedziałam nieco przerażonym:

„OKEJ?!” i podniosłam kciuki. Potem przystąpiłam do czegoś, co można by nazwać przeciwieństwem orgazmu, i tylko modliłam się żarliwie, żeby przynajmniej na niego nie pierdnąć, bo wtedy to ja mogłabym trafić do jego dowcipów.

Tylko parę razy udało mi się skłonić Meyera, by pokazał swój najlepszy, najpełniejszy uśmiech, któremu zwykle towarzyszy jedna sylaba śmiechu. A jest to widok i dźwięk, który dosłownie wstrząsa moim światem. Są w nim zęby, dołeczki i zmrużone, rozweselone oczy. Za pierwszym razem, kiedy go zobaczyłam, aż westchnęłam na głos, zanim Meyer zdążył go zetrzeć z twarzy. Zapisałam tę datę w kalendarzu, gdzie pozostanie w niesławie na wieki.

Mam poczucie, że jest coś wzniosłego w doprowadzeniu do śmiechu innego komika – zwłaszcza jeśli był tak dobry i cięty jak Meyer. Podejrzewam, że nadal mógłby być. Przez jakiś czas było o nim głośno. Pojawił się w telewizyjnym specjalu, w którym prezentowano grupę wschodzących gwiazd sceny komediowej, a nawet robił support dla paru gwiazd. Miał humor z rodzaju tych, które sięgają podstępnie głęboko. Jego sposób mówienia był niemalże monotony – prawie znudzony, lekceważący, jednak zawsze zaskakujący. To był taki stand-up, który oddziałuje natychmiast, ale im dłużej krąży po głowie, tym staje się śmieszniejszy. Meyer nie potrzebował ożywionej mimiki twarzy ani żadnej formy fizycznego humoru, a przekleństwami rzucał rzadko, co czyniło je tym skuteczniejszymi, kiedy się pojawiały. U niego każdy żart przechodził gładko w kolejny, tak jakby występ układał się w jedną długą historię.

Myślę, że było to całkowite przeciwieństwo mojego stylu.

– Mówiłem ci, że ten dowcip jest gówniany – odzywa się z rozbawieniem widocznym w lodowato błękitnych oczach, kiedy już wyłączam mikrofon i odsłuch.

– Czy ty właśnie zażartowałaś z mojego żartu, Meyer?

W odpowiedzi tylko przewraca oczami i zaczyna iść obok mnie.

– Gdzie Hazel? – pytam, szukając wzrokiem jego córki.

– Marissa ją dzisiaj przejęła. Miała napisać jakiś esej, ale nie napisała.

– Esej w wieku dziesięciu lat. Jezu, do jakiej szkoły ty ją posłałeś? Jestem po jej stronie.

Meyer wzdycha ze zmęczeniem i znowu przewraca oczami.

– Do takiej, która ma najlepszy możliwy program i najlepszych nauczycieli dla głuchych uczniów. Do takiej, za którą słono płacę. Do takiej, na którą chciałbym w dalszym ciągu móc sobie pozwolić, więc może unikaj w swoich występach fekaliiów.

– Nieźle. Ale czy ty mi właśnie sugerujesz, że powinnam włączać do swojego programu więcej tych „okropnych ochłapów”, żeby Hazel znowu mogła spędzać z nami czas? – pytam, nawiązując do nagłówka ostatniej, najbardziej negatywnej recenzji, jaką dotąd otrzymałam. – Poza tym ciągle ci powtarzam, Meyer, że gorące laski mają problemy z brzuchem.

– Wiesz, Jonesy, chyba już osiągnąłem swoje granice, jeśli chodzi o znoszenie krytyki za zabieranie dziecka na występy komediowe, podczas których ze swadą godną telemarketerki prezentujesz swoją kolekcję zabawek erotycznych – odpowiada, ale moje ostatnie zdanie pomija milczeniem.

– Ten kawałek to przydługie ogłoszenie matrymonialne. Staram się mądrze wykorzystywać dostępne środki przekazu.

– Grozili mi odebraniem praw rodzicielskich.

– Ale to było, zanim im powiedziałaś, że ona nie słyszy nic z tego, co mówię. – Podnoszę ręce w uspokajającym geście.

– Co, jak doskonale pamiętasz, sprawiło tylko, że zaczęli mnie krytykować jeszcze bardziej.

Na te słowa nie potrafię już powstrzymać wybuchu szczerzej wesołości, bo wiem, że Hazel uwielbia przebywać na sali hu- czącej od śmiechu, mimo że nie słyszy dźwięków. Właśnie za to ją pokochałam, bo ona to wszystko czuje, czuje otaczającą ją energię i jest od niej uzależniona tak samo jak ja.

Poza tym jest całkowicie nieświadoma kłopotów, jakich przysparza przez to ojcu, a on nie ma najmniejszego zamiaru jej uświadamiać i możliwe, że właśnie za to jego też trochę kocham.

– Bawi cię, że ludzie mnie krytykują? – pyta kpiąco i spoj- głąda na mnie z uniesioną brwią.

– W sumie nie, ale wiesz, człowiek się do tego przyzwyczaja... – Wzruszam ramionami, a on poważnieje.

Oboje wiemy, jak wiele krytyki wiąże się z tą ścieżką ka- rriery i jakie ryzyko idzie w parze z pewnego rodzaju mate- riałem. Choć w swoich występach zawsze staram się zawrzeć coś społecznie kontrowersyjnego, nie chcę tego robić kosztem czyjegoś człowieczeństwa. Wolę opowiadać gówniane dowci- py o pierdzeniu i wystawiać samą siebie na pośmiewisko, niż zachowywać się wrednie, byle tylko prowokować.

Ale chociaż czuję, że moja kariera powoli nabiera rozpędu, nie jestem jeszcze na tyle znana, by nie ulegać wątpliwemu czarowi internetowych komentarzy. Obecnie mój syndrom oszustki sponsoruje osoba, która napisała: „Mam gdzieś, że jest w miarę sexy, kiedy zaczyna gadać jak człowiek. Nie mogę znieść tej okropnej baby. Skarży się na bezczelność facetów, ale (jeśli to jej pierdolenie o czymkolwiek świadczy) założę się, że *body count* ma wyższy niż IQ. Ta laska to jakaś katastrofa i gdyby nie to, że tańczy na scenie i wydziera się jak opętana, nic z tego, co mówi, nie byłoby ani trochę zabawne”.

Zanim ktoś zapyta: komentator nazywał się Chad i na profilu miał kolekcję swoich zdjęć w ziomalskiej czapce z daszkiem –

która z pewnością miała ukryć powiększającą się łysinę – ze wszystkimi możliwymi smakami napojów Monster Energy i białymi okularami przeciwsłonecznymi założonymi na tył głowy. Tak, to właśnie ten typ.

Ale czy dzięki Chadowi sprawdziłam w Urban Dictionary, co to jest *body count*? O tak, sprawdziłam. Zawsze zakładałam, że to jakiś nowy, dziwny sposób odnoszenia się do wagi ciała. Nie, nie, nic z tych rzeczy.

Potem zaczęłam się intensywnie zastanawiać, czy ktoś mnie kiedykolwiek zapytał, jaki mam *body count*, i co mu wtedy odpowiedziałam. Meyer zapewnił mnie, że nie było takiej sytuacji, przynajmniej jego zdaniem. A on wie właściwie wszystko na mój temat.

Przyglądam się teraz jego mocno zarysowanemu profilowi. Skąd ten facet ma czas na siłownię, tego nigdy się nie dowiem, ale to jasne, że trenuje. Poza regularnym zażywaniem mikro-dawek serum superżołnierza, odkąd go poznałam, wyhodował też sporo siwych włosów. Widać je tu i ówdzie w zaroście na jego szczęce, a nad uszami, gdzie wcześniej były delikatnie roz-siane, teraz przeważają. Ma trzydzieści pięć lat, czyli o dziesięć więcej niż ja, ale dopiero zaczyna wyglądać na swój wiek.

Przychodzi mi do głowy, że to może przeze mnie. Przez to życie, w które go z powrotem wciągnęłam. Bycie samotnym ojcem głuchej córki, a zarazem menedżerem jednej (uroczej łamane na męczącej) klientki komiczki, co wiąże się z wieloma godzinami pracy i podróżami... Cóż, pewnie sporo go to kosztuje.

– Żałujesz, że zostałeś moim menedżerem? – pytam, zanim zdążę się dwa razy zastanowić.

Zatrzymuje się i obraca natychmiast w moją stronę, na twarzy ma wyraz zdziwienia – w odróżnieniu od zwykłego,

wiecznie obecnego grymasu. Mój mózg od razu robi w tył zwrot, a ja ku własnemu przerażeniu wyciągam rękę i dźgam go w zmarszczkę między brwiami.

– Bo jeśli tak, to niedobrze. Korzystam z wszystkich twoich subskrypcji na platformy streamingowe, znasz wszystkie moje hasła, poza tym za bardzo się już przywiązałam... Hej, Bob! – Zauważam mojego ulubionego ochroniarza i idę prosto do niego. – Nieźle wyglądasz, stary. Jezu, przysięgam, że za każdym razem, kiedy cię widzę, widać ci coraz mniej szyi. – Ściskam na moment jego wydatny biceps. – Niedługo będziesz mógł winić tylko swoją osobowość za to, że kobiety cię odrzucają.

– Ale wiesz, że występ już się skończył, co? – Bob się śmieje. – Poza tym ja tylko próbuję dotrzymać kroku Meyerowi.

Zanim zdążę wymyślić jakąś ciętą ripostę i rozpocząć nasze standardowe przekomarzanie, Meyer chwyta mnie za łokieć. Podskakuję. Spędzamy razem dużą część życia, ale w kontakcie z nim zawsze dbam o to, by unikać zbyt częstego dotykania się bez powodu. Dwa razy w ciągu jednego wieczoru to chyba rekord.

– Farley.

Spoglądam na niego, a potem podążam za jego wzrokiem...
Jasny. Gwint.

Przyszła Kara Wu.

Na mój występ.

Występ, który wszystkich rozwalił.

Uśmiecha się w moją stronę.

Moja ulubiona komiczka, jedna z najsłynniejszych w kraju – która pisze do szalenię popularnych programów i prowadzi Saturday Night Live – jest tutaj i uśmiecha się w moją stronę.

A ja... Oczywiście, że tak. Robię to, czego nie robi nigdy żadna fajna dziewczyna.

Oglądam się za siebie, żeby sprawdzić, do kogo się uśmiecha. Potem zamykam oczy i wzdycham przez nos, kiedy zdaję sobie sprawę, co właśnie zrobiłam, uspokajam się i obracam z powrotem do niej z bladym uśmiechem.

Kiedy staje tuż przy mnie, znowu spoglądam na Meyera, by się upewnić, czy nie mam halucynacji. On tylko posyła mi uśmiech, usta ma zamknięte, a w jego oczach maluje się łagodne zainteresowanie.

Odrywam od niego wzrok i obracam się znowu do Kary Wu, która wciąż uśmiecha się wyczekująco. Na skraju pola widzenia spostrzegam też Boba, który śmieje się bezgłośnie i wyciąga telefon, żeby pstryknąć zdjęcie.

– Farley? – odzywa się Kara Wu.

– Kara Wu? – kwiczę. Brzmi to co najmniej oskarżycielsko. Ona wybucha śmiechem.

– Wystarczy Kara. Zajebisty występ.

O. Mój. Boże. Kocham ją. Matka, która nie boi się bluzgać na scenie ani, jak widać, poza nią. Szorstka, prawdziwa, sprośna i naturalnie zabawna. Chcę się z nią zaprzyjaźnić. Wszędzie bym za nią chodziła, kroiłabym jabłka dla jej dzieci, gadałabym z nią przez telefon i... sama nie wiem, mój mózg zapętlił się na telefonicznych pogawędkach.

Meyer szturcha mnie łokciem, ale odzywa się za nas oboje, podczas gdy ja staram się zrestartować umysł.

– Kara! To było już parę lat temu, ale kiedyś się poznaliśmy. – Wyciąga rękę, żeby uścisnąć jej dłoń.

– Pewnie, doskonale cię pamiętam. Z czasów, kiedy robiłam trasę z Marshalllem. Nie zapomniiałabym twojej twarzy. – Spogląda na niego z pełnym uznania uśmiechem, trzepocząc przy tym rzęsami.

Trudno ją winić, Meyer rzeczywiście stanowi widok godny podziwu. Wysoki, muskularny, idealnie postarzony przez te szpakowate brązowe włosy i brodę. Chłopak z sąsiedztwa, który wyrósł na oszałamiającego mężczyznę. Ale kiedy zauważam, że Kara przytrzymuje uścisk jego dłoni odrobinę zbyt długo, przeszywa mnie zaborczy impuls, który przyspiesza mój reset.

– Dziękuję. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – mówię i wystawiam własną rękę, żeby ją ścisnęła.

– No to uwierz. Już od jakiegoś czasu mam cię na oku, a skoro o tym mowa... – Przywołuje kogoś gestem. – To jest mój menedżer Clay. Clay, Meyer, porozmawiajcie ze sobą. Ja chcę pogadać przez moment z Farley.

O Boże. Dobra. To się dzieje. To się dzieje naprawdę!

Odchodzimy parę kroków, po czym ona zwraca się do mnie:

– Może od razu wyłożę karty na stół. Chcę, żebyś robiła nam support na trasie.

Tylko nie zalej się teraz łzami szczęścia, Fee. Tylko nie to. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Support. Nam. Czyli tobie i...

– Mnie i Shaunie Cooper. Uwielbiamy cię i chociaż myślałyśmy jeszcze o paru innych osobach, ty jesteś pierwsza na naszej liście. Tylko chciałabym najpierw wypytać cię o parę spraw.

Budzi się we mnie żelazna determinacja, serce łomocze mi w uszach. Ta fucha będzie moja...

– Co miałabym zrobić?

– Wiesz, szczerze mówiąc, to pod względem zawodowym właściwie nic. Twoje programy mówią same za siebie. Jesteś naszą pierwszą kandydatką właśnie dlatego, że zależy nam na

błyskotliwej komedii, od początku do końca. W teorii idealnie byś nas dopełniała. Stanowiłybyśmy niezłą reprezentację, jeśli chodzi o wiek, orientację seksualną i pochodzenie etniczne, w dodatku żadna z nas nie boi się obsceny. Ty wprowadziłabyś element dziwaczności, ja czynnik macierzyński, Shauna komentarz społeczno-polityczny. Tylko że wyszłaby nam czysto kobieca trasa komediowa w branży, która niestety nadal jest zdominowana przez mężczyzn. A ja chcę, żeby to był rozpiardol, Farley. Chcę, żeby zrobił się hajp. Więc musimy mieć zajebisty PR, zanim cokolwiek się zacznie, a to oznacza, że trzeba będzie ściągnąć na siebie uwagę mediów. Stąd właśnie ta rozmowa.

– Okej. Dla mnie spoko. Totalnie w to wchodzę. – Podoba mi się ten pomysł. Liczba mężczyzn, którzy występują w specjalach na Netfliksie, w porównaniu z liczbą kobiet jest przytłaczająca. Aż drzę z podekscytowania i zapału.

– To oznacza być może wywiady i niestety, to już na pewno, zainteresowanie twoim życiem prywatnym... Ludzie bywają bardziej zaangażowani w występy komiczek, jeśli mają poczucie, że je znają albo przynajmniej wiedzą, z jakich doświadczeń wypływają ich żarty.

Okej... To już mi się nie za bardzo podoba.

– Nie jestem z tego dumna, ale gdybyśmy mogły w ten sposób przyciągnąć więcej osób i zyskać rozpoznawalność, na jaką zasługujemy, to uważam, że trochę zdrowego wyzysku nie jest poniżej naszej godności.

– Rozumiem. Naprawdę – mówię, choć nie staram się ukryć nuty zaniepokojenia w głosie.

– Mam pewien pomysł. To znaczy... ja mam pewien pomysł.

– Okej...



*Sięgnij po
więcej!*



www.wydawnictwokobiece.pl



[kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



[wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)